

Cena numeru 200 marek

Opiszenia u nas zamówione zamieszczamy w swych piśmiech o wielkim nakładzie „Dzienniku Białostockim” i „Dzienniku Grodzieńskim”

Korsa kwiatowe!

G. ARCISZEWSKI
 REDAKTOR, ul. Domszkańska 23.
 1470-472 10-1

Wszystkim przyjaciółom naszego
pisma, wszystkim naszym współ-
pracownikom i czytelnikom, wszyst-
kim tym, którzy czynem i myślą
walczą o lepszą przyszłość dla
naszego kraju,—życzymy, by rok
nowy był bardziej pomyślnym i
ziścił wreszcie wspólne nasze na-
dzieje i pragnienia.

ROK NOWY.

Głęboka mądrość spoczywa na
dnie zwycięstwa, iż w noc Sylwe-
strową, gdy tajemnica przemijania
czasu, życia i wszystkiego staje
przed nami wyraźniej, niż kiedyś
kolwiek — składamy sobie życzenia,
wyrażające wiarę w zmianę na
lepsze. Gdy w noc Sylwestrową
bije godzina dwunasta, rok ubiegły
obuwa się w przepaść wieczności,
a z otchłani czasu podejmuje
się rok nowy. Rok ubiegły, to
czarna przeziębiona bólem, cier-
pieniem, rzadko radością i szczę-
ściem, to część nas samych, zapo-
dziana się w niepewną przyszłość.
Oblicze jego porwane do
świadczenia, niekiedy czy nawet
szczęściem, ale zawsze, zgłębnione,
przeżyte i zażyte. To już było.
Tymczasem natura ludzka zawsze
łaknie nowości, zmiany, nadziei—
twórczości.

W sercu ludzkim mieszka chi-
mera, jakieś pragnienie doskona-
łości skończoności, absolutnej, szczę-
ścia i piękna niepokalanego. Chi-
mera to właśnie, bo jest to raczej
uczucie, nawet nie uczucie, lecz
pożądanie, że gdzieś, kiedyś, za
nieznaną górą, za śladami
rzekami jest kraina bajeczna, raj,
piękno i szczęście. Rok ubiegły
zawodził naszą nadzieję. Nie osią-
gnęliśmy szczytu, nie wstąpiliśmy
do ogrodu tajemniczego — chimera
wciąż dalej umykała przed nami,
mamiąc nas łeczą zapowiedzi,
cudów, piękna, nieuchwytna.
Lecz z łona czasu wypromienił się
rok nowy, młody, płomienny, pełen
rozpędu i ochoty do życia i walki.
A kiedy zjawia się przed nami
uderzeniem dwunastej godziny w

noc Sylwestrową, wówczas z nie-
poskromioną żywotnością wstają
w nas pragnienia, szepczące, iż w
tym roku nowym osiągniemy to,
czego poskapił nam rok ubiegły.

Złudzenie? Może. Lecz to złu-
dzenie tak jest mocne, zawsze
powtarzające się, żywotowe, że
bez niego życie nie da się po-
myśleć. U bramy piekła zawieszil
wielki iluzacz spraw tego i tam-
tego świata, Dante, napisał: „Po-
zbądźcie się wszelkiej nadziei
wy, którzy tu wchodziście”. Bez
nadziei życie zamieniłoby się w
piekło. Nadzieja, ufność stanowi
motor życia najpotężniejszy, jest
osią postępu, sercem życia czyli
ruchu. Ona to, nadzieja, wiara, że
niekiedy my, ja, naród, społeczeń-
stwo, ludzkość osiągniemy cel
najwyższy, wstąpimy w krainę
piękna, szczęścia, sprawiedli-
wości, sprawi, iż nie tylko trwamy
i żyjemy, ale dążymy do czegoś,
stwarzamy ideały, że w ziszcze-
nie ich wierzymy, że są nawet
podróż nas tacy, co dla idei za-
pominają o sobie, gotowi życie
swe, skarb swój największy, za
ideę ofiarować.

Noc Sylwestrowa, święto no-
wego roku to święto nadziei, to
godzina porwy myśli i podnie-
sienia się serca ku tym najdal-
szym celom człowieka i ludzko-
ści, które dnia powszedniego bled-
ną, gonią, kryją się gdzieś za
szaremi murami trosk, walki, cier-
pień, zawodów, zasnianajacych—
cale nieskończone i święte.

Kiedy ginie w ciemnościach wiecz-
ności kruszyna czasu, zwana ro-
kiem, gdy rok nowy wylan się

z tajemniczych zasłon nieodgę-
dnej przyszłości, wówczas myśi
błogosławna nasuwa się plekocjom,
wzajemne, niby na łańcucho w pod-
niebne regiony zamyslenia, skąd
małe sprawy i drobne zabiegi gin-
ną, a przed oczyma ducha otwio-
rają się nieogarnione, wspaniałe,
majestatyczne królestwa chimery.
Czujemy wówczas, że każdy z
nas, pyłek wobec odwiecznych po-
tęg, jest przecie cząstką ważną i
konieczną w labiryncie bytu i nie-
skończoności światów. To pół-
świat, pół-szczęście, pół-wielkość,
jakim żegnamy rok stary, zapo-
dzający się w przyszłość, jakim
witamy ten rok nowy, wchodzący
w przyszłość, napienia nas uczu-
ciem radości, że jednak w zagad-
kowym spleśniu dziejów jedności,
narodu, ludzkości, świata i
wzdechów i tkwi jakieś głębokie,
trudne tylko do odcyfrowania zna-
czenie, że to życie nasze indy-
widualne i byt wszechświatu stano-
wią wartość pozytywną, dodatnią,
absolutną i ogarnia nas wzrusze-
nie. I znowu, jak rok temu, jak
dziesięć lat temu w ten nowy rok
żywieliśmy w sercach na-
dzieję, że to, czegośmy jeszcze
nie osiągnęli w roku ubiegłym,
zdołamy w nowym.

To złudzenie, odnawiające się
w sercu człowiekiem od lat, od
setek lat, od tysięcy, zawsze,
mimo zawodów, nieszczęść, śmie-
ci, rewolucji, rzezi i wojen jest
podstępem instynktu, najtajniejszą
mową tajemnic, każącej nam żyć
wielkością, bohaterstwem, wiarą
w idee, bowiem istnienie ma swój
cel, bowiem chimera nie jest
kłamstwem, lecz zapowiedzią zwy-
ciństwa. Każdy nasz krok, wszel-
ki czyn, jeśli dodadni, zbliża nas i
ludzkość do tego zwycięstwa, je-
śli nikczemny oddała i ją i nas od
niego.

— Przeto miejcie nadzieję i
podług niej czyńcie — powiada
rok stary, oddając nas swemu za-
stępcy.

~~~~~

Kupujcie 8-mio procen-  
tową Pożyczkę złotą

Józef Batorowicz.

## Sursum Corda!.

Hej, w górę serca i myśli i głowy!  
Niech oczy nam szczęściem jaśnieją,  
bo idzie już ku nam wiosenny Rok Nowy,  
choć zima wciąż straszny zawleja.

Słoneczne się przed nim wkrąg ściągają gości  
wiosenne brzmia wokół hejnały  
i kładą pod nogi złociście kaczyńce —  
radością oddycha świat cały

Co było, to przeszło, zniknęło, jak piana  
i nigdy już, nigdy nie wróci!...  
Hej, bracia, kto dożył Nowego Dnia Rana  
niech pieśni tryumfu zanuci!

## Res sacra miser.

W nowym okresie naszego by-  
tu niepodległego, jak przed 50 ciu  
laty rozpoczęliśmy, warstwa naj-  
młodsza pod względem świado-  
mości zbiorowej, warstwa pracu-  
jąca w szerokim i czystym tego  
słowa znaczeniu, opiera o indy-  
widualnie silną inteligencję zawodo-  
wą, może i powinna dla dobra  
własnego i całości narodu wzmac-  
niać się organizacyjnie i brać z  
rąk warstw przeżytych należną  
część ich władzy, sirząc się  
jednocześnie chlubie starej — prze-  
cieniania zasług i sił własnych jak  
również niedbając o losy całości,  
znanej narodom społeczeństwem  
czy państwem.

Mniej trzeba ślepej zazdrości,  
więcej wiary w moc i godność, w  
nawet trwale i owocne szlachectwo  
zbiorowej twórczej pracy, więcej  
śmiałości wyobraźni w dziedzinie  
tego, czego jeszcze nie było, a co  
można i warto stworzyć.

Miałe wiarę i śmiałość praw-  
odawca, zakreślając szerokie fun-  
damenty pod przyszły gmach de-  
mokratyzowanej pomocy lekarskiej,  
dostępnej dla wszystkich — w tak  
zwanym Kasach Chorych.

Ustawa z dnia 19 maja 1920 r.  
uwzględniła półwiekowe doświadc-  
zenie i błędy niemieckich Insty-

tucji obywatelskich ubezpieczeń  
społecznych: kasy niemieckie, dy-  
zawodowcami, nasze są terytorial-  
nymi, tam każda grupa zawodowa  
miała osobną administrację i loka-  
le — u nas, gdzie wszystko jest w  
jednej powiatowej kasie, stanowi  
ogromny postęp i oszczędność.

Wystarczy jednak wczynać się  
w ustawę i rozetrzeć w naszych  
warunkach, żeby zrozumieć, że  
można i należy, nie burząc tej  
solidności na ogół zbudowanej sta-  
wy, pójść w tym kierunku jeszcze  
dalej — i unarodowić ją ostatecznie.

Za hamulec jej rozwoju uży-  
wać należy zakaz nalezienia do  
kas urzędników państwowych z  
nominacji i kolejarzy — nich ba-  
wieni ma dbać państwo. Z pew-  
nością ani skarb państwa, ani ur-  
zędnicy na tem nie wygrają. Je-  
żeli można sobie wyobrazić wiel-  
kich miastach odrębną sieć po-  
mocy lekarskiej dla tysięcy urzę-  
dników, to najbujniejsza wyobraźnia  
nie narysuje nam jakiejś sieci dla  
garstki urzędników, rozproszonych  
po rozległym powiecie przy sa-  
szych śródkach lokomoty.

Ta kategoria licznych rzasz-  
urzędniczych nie jest jedynym  
brakiem ustawy z punktu widze-  
nia interesów rozwoju kasy.

Wejźmy w położenie Kasy  
Chorych powiatu nieprzemysłowe-  
go, przeważnie lub wyłącznie mi-  
nicznego, których jest znakomita

## Taniec szczęścia.

...Mógł niem być dla p. Stolza,  
który — nie chcąc się całą racją  
od razu zachłystać — podzielił ją  
na 3 dawki po jednym akcie  
każda.

Jest niem napewno dla osła-  
wionego (och!), ogólnie znanego  
znanego (tak, tak!) trójlistka — Czern-  
ekówna — Tadeo Pilarzki — An-  
tek Wajnsztajn, pardon! Kaczorow-  
ski, — bo tego mi zaprzeczycie ni-  
komo się nie uda.

Może i nie być dla wszystkich  
tych, którzy chcą się dostać do  
przebiegów i walek teatralnej  
w „Palace” i przez parę następ-  
nych godzin odchodzą od zmys-  
łów z wzruszenia i uciechy — bo  
to dla miłośników Białegostoku  
jest oczywiście, uszywane i kurczy-  
wiste.

Ala dla mnie? Dla mnie?  
Mnie?

„Taniec „szczęścia” — słowo:  
szczęścia w podwójnym cudzo-  
słowie — stał się prawdziwą me-  
czarką — inkwizycją — Golgotą.  
Przebieg szczęścia na szczęście, kole-  
po kole, smętnie rozciąga po u-  
derzeniu maczuga.

Rzecz naogół wygląda diacin-  
nie: wszystkiemu winien monokl  
na niebieskim wstążce. Pozostawia  
go w „rozstąpieniu” hrabia Jan  
Joachim von Bibersbach (Wł.  
Grabowski), będąc „rozstąpionym”  
przez Desirę Viverande (M. Lin-  
kowska), z powodu zazdrości  
o Lizzi Mutzenbecher (ma  
się rozumieć: Czernekównę!)  
Znajduje go (tj. niby monokl)  
Fryc, pomocnik fryzjerski, (oczy-

wieście Tadeo Pilarzki — czytelnicy,  
nie słyszycie zgrzytu mojego ołów-  
ka?) — i kabala gotowa. Bo Lizzi  
przyszła na schadzke z niezna-  
nym wielbicielem, ubłagana za-  
pomocą bezimiennego zaproszenia  
w drobnych ogłoszeniach „Nowe-  
go Dziennika Białostockiego” (by-  
ło ono także, przypadkowo meta-  
bene, w „Dzienniku Grodzieńskim”).  
Ale to wszystko niby jeszcze  
nikomu nie szkodziło, gdyby  
randka wypadła była gdzieś  
u Rycy czy w Royalu. Niestety,  
na pułapkę wybrano „Alhambrę”,  
oficjalnie „variete” — w rzeczywi-  
stości nęga rabunku i rozboju, w  
której grąsował niepodzielnie „bi-  
leter Sebastian Krzeselko, skoń-  
czony potwór, w którym bez trudu  
domyslicie się Antka Kaczorow-  
skiego.

„Taniec” to niecnota nawarzył  
piwa bez żółtek i cynamonu, ale  
z potrójną porcją pieprzu.

I zaczęło się coś monstrualne-  
go. Lizzi zakochała się we Frycu  
(rzecz zgola pospolita), a Seba-  
stian dolewał cięwy do tego pie-  
kielnego ognia. Wszystko troje —  
z wyjątkiem Frycy — wierzyło, że  
Fryc jest hrabią, on zaś sam śmiał  
się z tego, bo, posiadłszy „serdu-  
szko Lizzi, z żadnym księciem  
(szelmą) nie byłby się mieniał.  
Oszustwo na mylny kamień!

So-zwiedliwość wreszcie do-  
sięgła zbrodniarza papa Mutzen-  
becher (M. Chmielarczyk) i matna,  
Ewa (J. Cedzyńska) przegnęli w  
porozumieniu z hrabiostwem Lu-  
donem i Elfredą Bibersbachami  
(Wł. Jankowski i M. Kamińska) —  
przegnęli przez (brawo!) zuchwa-  
łego fryzjerskiego, ofiarując swoje  
serca i ręce Lizzi Janowi Joachi-  
mowi.

Lecz przyjaciółki, Sebastian,  
miłość i diabeł (ten ostatni, wpro-  
wadzony przeze mnie bez upo-  
ważnienia autora, był tu właści-  
wie zgola zbyteczny) — te spryska-  
jące potęg ciemnoty, znowu  
sprowadziły kochanków ka wiecz-  
nej hańby Mutzenbecherowskiej  
fabryki kapeluszy.

No, i jak wam się to podoba?  
Nic szczególnego? Naturalnie!  
Trzeba było widzieć Lizzi, tego  
nieobeszlego jeszcze od piesz-  
czot matczynych podlotka, jak to  
rozowo-śnieżno-białe utraipienie  
wyszczereło myślą zębki i strze-  
lało ślepakami! Trzeba było przy-  
rzec się żółtodziobemu Frycowi,  
urwisowi z pod najciemniejszej  
gwiazdy, jak robił z siebie cheru-  
bina i tuzinami polykał serca nie-  
wieście niby ostrzygli Niedarmo-  
wgo Sebastian skrzytał przez cały  
wieczór: „popać, popać!” (znaczy:  
popatrz, bo pokraka nie ma ze-  
bów).

Właściwie zamiast tej quasi-  
recenzji powinienem wystosować  
zwyczajny list otwarty do p. Fry-  
ca takiej mniej więcej treści:

„Panie!

Pan... Co mnie Pan wogóle  
obehodzi? A jeżeli tak, to dla-  
czego nie wolno mi usiedzieć spo-  
kojnie w teatrze? Dlaczego różne  
baby (ale jakie! jedze, sekutnice,  
wiedźmy, czarownice, strzygi, to-  
pielice, dziwożony, morowe dzie-  
wicel) od szesnastu lat w górę  
ooszarpują mi polę i rekawy, za-  
sypując gradem pytań:

— Pan go zna? Ooo! Pan  
mnie z nim zapozna? Aaa! Musi  
być przemyślny... (żeby go rozparło!)  
A to prawda, że on ma dopiero  
20 lat? Boże, Boże! Zonaty? Ma  
podobno troje dzieci i jedną parę

blizniąt?..

Czy Pan wie, że umiem już  
ten policyjny kwestionariusz na  
pamięć i odpowiadam, nie czeka-  
jąc końca litanji jak następuje:

— Znam go dawno... mniej  
więcej od trzydziestu pięciu lat,  
kiedy poraz pierwszy dostał się  
do kryminału za ludożerstwo. Wie  
pan... coś w rodzaju bohaterów z  
powieści Ewera. Zboczeniec. Miał  
siedem żon i wszystkie w krótkim  
czasie owdowiały. Ojcem nigdy  
nie był. Nie może... znieść rodzin-  
nego życia. Nie znosi towarzystwa,  
a kobiet — ani na oczy!

I wyobraź Pan sobie, co mi  
jedną z nich na premierze powie-  
działa:

— Niach go pan ucałuje ode  
mnie.

— Gdzie? — syknąłem, nie pa-  
nując już więcej nad nerwami —  
gdzie go main pocałować? Tu, w  
teatrze, może na scenie?

— Nie miałabym nic przeciwko  
temu. Taki cudny, taki śliczny!

Panie! Panie! Ja dłużej tego  
nie zniosę. Nie mniej nie podoba  
mi się Pańskie ustawiczne wy-  
dreptywanie obok p. Czerneków-  
nej. Oburza to przesztą nietylko  
mnie jednego. Sam na własne u-  
szy słyszałem (jak Boga kocham!)  
także na czwartkowej premierze,  
jak pewien stateczny mąż, pater  
familias, widząc Pańskie se-  
pie zapędy w stosunku do uroczej  
Lizzi, z oburzeniem wykrzyknął:

— Puść tego gołębia!

Pod tem szlachetnym i rozum-  
nem hasłem mogę się podpisać  
oburacz. Tymczasem powiem Pana  
i coś jeszcze coś, co również nie  
Pest w porządku... To jest powiem  
namu coś, co dotyczy czegoś, co  
toie jest całkiem w porządku: jak

to wytłumaczyć, że kiedy Pan, al-  
bo ten cudny filij kwiat, albo ten  
narwany Sebastian wchodzi na  
scenę, publiczność zaczyna bić  
oklaski, nie czekając na pierwsze  
słowo?

Pan nie wie, co to jest? Po-  
pąć, popać! To ja Pana wyrecze i  
nazwę rzeczy po imieniu:

— To jest skandal!

Taki list otwarty należałoby ko-  
niecznie ogłosić, lecz nie czyń  
tego przez prostą litość — dla sie-  
bie. Pocięchaj niech mi będzie  
wzniosła nauka o miłości bliźne-  
go, zawarta w popularnym przy-  
słowiu: Przyjdzie kryśka do Ma-  
tyska.

Zagadałem się o rzeczach, któ-  
re mi były szczególnie przykre.  
Zrzuciwszy ten ciężar z serca, chce  
rzec jeszcze parę słów należnego  
uznania dla sumiennej gry całego  
zespołu.

Przyjaćielki Lizzi, p.p. M. Gry-  
szczyńska, E. Sroczyńska i A. Gu-  
manówna były b. dobre, mimo to  
i wśród nich wyróżniła się doda-  
nio p. M. Wnekówna, artystką  
wielce utalentowaną, obdarzoną  
pięknym, altownym głosem i zre-  
cznością gazeli. P. Linkowska,  
jako Desirę, dała się poznać z naj-  
korzystniejszej strony. Pragnąłbym  
tu wymienić wszystkich po kole,  
o każdym mając coś przyjemnego  
do zanotowania, boje się jednak  
wdepnąć znowu przez omyłkę o-  
czywiście na któreś z zaczęto „  
stryfolium”, a na samą myśl o  
tem ołówce wypada mi z palców

Zmarła.



— Sytuacja w handlu. Bser-  
giczna postawa nowego rządu ko-  
rzynierze oddziałali na sferę ku-  
pieckie. Kurs marki narazie utrwa-  
lił się, ceny artykułów pierwszej  
potrzeby nie wzrosły. Natomiast  
brak gotówki nadal dotkliwie do-  
ci się odczuwać.

dramat w 6 wielkich  
aktach.

Kasa czynna od godz. 5-ej po poł.  
Ulgowe—tylko na 1-szy seans.

Podobny wyzysk w obu punktach jest kary godnym.

żelaznych. Przyjmuje wszelkie re-  
cje maszyn, oraz zamienia stary  
nowe.

**Wódki i likiery.**  
Kuchnia wina, piwa, i likierów. Włas-  
nym. Egzystuje od 1880 r. Gro-  
dź ulica Brygidzka Nr 1. (dom w  
tel. 56.

